

# Zajdziński, Tadeusz

---

## Przez bolszewicki kraj – pod Monte Cassino : walka

---

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 16, 116-132

---

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Morza Śródziemnego. Na wielu odcinkach linia kolejowa przebiegała tak blisko brzegu, że doskonale widać było morze. Jechaliśmy przez Sydom, Hajfę, Tel-Awiv, Gazę, El-Cantarę do Ismaili, dwudziestotysięcznego miasteczka (obecnie ponad 250 000) położonego nad Kanałem Sueskim. Wokół rozciągała się pustynia. Ismaila powstała od podstaw dzięki Francuzom, którzy budowali kanał. Dlatego miasto to jest inne niż wszystkie miasta egipskie (arabskie). Domy były jedno - dwupiętrowe, a nad miasteczkiem górował kościół katolicki. W tej okolicy staliśmy około 2 tygodni. Z Libanu wyjeżdżaliśmy w ostatnich dniach stycznia (1944 roku), kiedy rozpoczynała się pora deszczu. Mieliśmy szczęście, bo w kilka dni po naszym wyjeździe runął, podmyty przez wodę, jeden z mostów, przez który jechaliśmy. Zwiedziliśmy Egipt. Byłem na kilku wycieczkach – w Cairo i w innych miastach. Nie zdążyłem jednak zwiedzić Aleksandrii. Wybraliśmy się do Assuanu, żeby zobaczyć pierwszą kataraktę Nilu, ale przesładował nas pech – samochód nie dojechał i musieliśmy zawrócić z drogi. Zdążyłem jednak nabrać wyobrażenia o wielkości Nilu, najdłuższej po Missisipi rzece świata. Nil w dolnym biegu wcale nie wygląda tak potężnie jak mi się wydawało. Na tej wysokości nie ma żadnych dopływów, tak że woda, która płynie z jeziora Wiktorii, z gór Abisynii, i zbiera się z różnych dopływów i bagnisk Sudanu, tutaj jak gdyby ginie. Wokół są pustynne piaski, a urodzajna dolina nie przekracza kilkunastu kilometrów szerokości. Widzieliśmy piramidy, sfinksa, Memfis. Cairo tak się rozrosło, że przedmieściami sięgało prawie piramid. Przed wiekami piramidy były daleko na pustyni. Piękne to były wycieczki, a doznanych wrażeń opowiedzieć się nie da – to wielkie niepowtarzalne przeżycie.

## **Walka.**

Przygotowaliśmy się do ewakuacji na Półwysep Apeniński, do Włoch. Przywieziono nas transportem kołowym do Port Saidu, po Aleksandrii największego portu Egiptu. Miasto to liczące około 300 000 mieszkańców ma wielkie znaczenie ze względu na Kanał Sueski. Wszystkie statki przepływające przez kanał, przepływają z północnej strony przez Port Said, a z południowej przez Suez. Nie umniejsza to jednak roli Aleksandrii jako portu.

Na statki załadowano nas w Port Saidzie. Ile tych statków było oraz ile okrętów wojennych nas eskortowało, wiedziało tylko naczelne dowództwo angielskie. Flotylla ta składała się z pewnością z kilkuset statków i okrętów. Osłona okrętów wojennych i samolotów była konieczna, ponieważ Niemcy siedzieli w tym czasie w Grecji, na Krecie i wyspie Rodos, tak że zagrażali wszystkim statkom, znajdującym się w pobliżu. Nasza flota była jednak tak potężna, że właściwie nie odczuliśmy napadów niemieckich samolotów czy okrętów podwodnych. Niemcy usiłowali atakować, ale nie wyrządzili żadnych istotnych szkód i nie dotyczyło to statków naszej grupy. Płynęliśmy wzdłuż wybrzeży Afryki i w niewielkiej odległości od lądu, aby w razie konieczności opuszczenia statku, móc się uratować. Statek nasz, to statek pasażerski przystosowany do celów wojennych transportów. Był bardzo wygodny, wszystkie siedzenia obite elegancką skórą. Jedzenie wspaniałe. Był również sklep i kasa wymiany pieniędzy, gdzie wymieniano każdą walutę świata. Był basen kąpielowy i kort tenisowy. Płynęliśmy jak na spacer, a nie na wojnę. Była olbrzymi różnica między tym, co widzieliśmy w Związku Radzieckim i tym, co zastaliśmy tu, w kapitalistycznym świecie.

Płynęliśmy na Półwysp Apeniński do Włoch, bo tam od południa zaczęła się inwazja wojsk alianckich. Niemcy, którzy uprzednio panowali nad całą północną Afryką, zostali rozbici w 1943 r. i po klęsce pod El-Alamein, po przejściu na stronę Anglików wojsk włoskich pod dowództwem marszałka Piotra Badoglio, wycofali się z Afryki pozostawiając część sprzętu. Inwazję na Półwysp Apeniński rozpoczęli Amerykanie. Wylądowali najpierw na Sycylii, a następnie w południowej części Włoch. Było to we wrześniu lub październiku 1943 r. Pierwsze transporty wojska polskiego dotarły do Włoch w lutym i marcu 1944 r. Była to 3. Dywizja Karpacka (w Rosji 5. Dywizja) i 5. Dywizja Kresowa (w Rosji 6. Dywizja). Ta ostatnia pod dowództwem generała Sulika. Naszą 6. brygadą, która przejęła tradycje 6. Lwowskiej Dywizji dowodził pułkownik dyplomowany Klemens Rudnicki. Na ląd wyszliśmy w Taranto (Tarencie). Jest to stare, rzymskie miasto z dużą ilością pamiątek z tamtych czasów, przepięknie położone. Była to jedna z największych baz morskich i lotniczych w południowych Włoszech.

Ta sielankowa – jak początkowo się wydawało – podróż luksusowym statkiem byłaby skończyła się tragicznie. Nocą wstrząsnęło nagle statkiem

jak małą łupiną, rozległ się trzask i zrozumieliśmy, że dostaliśmy torpedę. Światła zgasły. W ogromnym pośpiechu zajęliśmy uprzednio wyznaczone stanowiska ewakuacyjne. Byliśmy w kamizelkach ratunkowych, które nosi się na statku stale, w dzień i w nocy, śpi się w nich i nie zdejmują nawet w ubikacji. Przebywało nas na tym statku około 2 000 żołnierzy, a więc powstał natychmiast wielki tumult. Statek był uzbrojony w 6 do 8 dział, miał wzmocniony dziób i boki stalowymi płytami, chroniącymi przed mniejszymi pociskami. Staliśmy na placach alarmowych, a rozkazów żadnych nie było. Myśli po głowie chodziły różne. Wiedzieliśmy, że w razie konieczności, na rozkaz skakać będziemy do wody. Szalup było mało, zarezerwowano je dla sprzętu, chorych i kobiet. Nasz 18. batalion był w szczególnie niekorzystnym położeniu, ponieważ staliśmy na wysokim pokładzie, tuż pod mostkiem kapitańskim, na wysokości kilkunastu metrów. Nie jest przyjemny taki skok, szczególnie nocą. Woda też była jeszcze niezbyt ciepła i czyhały w niej rekiny, a stan morza wynosił około 7 stopni. Okazało się, że zderzyliśmy się ze statkiem, wiozącym Anglików. Dziura w naszym kadłubie miała około 6 metrów średnicy. Ogłoszono, że nic nie grozi. Z dolnych pokładów ludzie przeszli na górne. Szybkość statku kilkakrotnie spadła. Pozostaliśmy w tyle w asyście kilku torpedowców. Okazało się, że są straty w ludziach. Zderzenie spowodowało wyrwanie z podstaw dwóch dział i dwóch żołnierzy zostało zgniecionych. Do Taranto doszliśmy z całonocnym opóźnieniem. Chodziła pogłoska, że winę ponosił kapitan statku angielskiego i że będzie odpowiadał przed sądem wojennym. Nasza kompania wyznaczona została jako kompania służbowa-wylądowcza. Przebywaliśmy na statku jeszcze kilka dni dłużej, póki nie skończył się wyładunek. Statek miał rozpruty bok i dziwne było, że mimo to dopłynął do portu tylko z jednodniowym opóźnieniem.

Pełniliśmy warty w porcie. Port wojenny w Taranto znajduje się w małej zatoczce. Włosi nazywają ją Mare More. Jest to wspaniałe schronienie dla statków i okrętów. Nie ma tam burz i sztormów i jedynie z powietrza widać, co się dzieje. Służbę w porcie pełniliśmy przez dwa tygodnie. Było spokojnie. Niemieckie samoloty nie pokazały się ani razu. Nie odczuwało się tego, że jest wojna. Po służbie chodziliśmy do kina, teatru, kafejek. Włosi odnosili się do nas przyjaźnie, a Włoszki w szczególności. Szkoda, że nie mogliśmy zostać tu dłużej, ale służba nie drużba, przecież trwała wojna.

Pojechaliśmy dalej na północ własnym transportem. Pierwsze, zbombardowane przez Niemców miasto, które napotkaliśmy na drodze, to Foggio. Około 50% domów było zniszczonych lub poważnie uszkodzonych. Dalej jechaliśmy przez Campo-Basso w kierunku Iserni. Pod Isernią przeżyliśmy pierwszy napad niemieckiego lotnictwa. Zostaliśmy obrzuceni bombami i ostrzelani z broni pokładowej. Jechałem wtedy w pierwszym wozie, na czele całej kolumny wojska. Oddział mój miał dwa sprzężone karabiny maszynowe przeciwlotnicze. Właśnie wjechaliśmy w małą dolinę, kiedy zauważyłem dwa Messerschmitty i zanim zdążyliśmy się sprawić, już poszły po nas serie. Patrzę, z kierowcy leje się krew, a mnie jest jakoś dziwnie ciepło, ale nie odczuwam żadnego bólu. Wóz jest uszkodzony – stoi na poboczu. Obsługa dwóch podchorążych, którzy byli na wozie, informuje mnie, że przestrelano koło. Był to wóz 1,5-tonowy, jakich używali dowódcy oddziałów. Tymczasem samoloty angielskie, które osłaniały kolumnę, przepędziły Niemców. Jeden z Messerschmittów został uszkodzony i lądował przymusowo na angielskim lotnisku w Venafro. Wojska poszły dalej ku stanowiskom, które miały zająć na froncie, my zostaliśmy przy drodze. Poszedł meldunek do dowództwa, że nasza kolumna została ostrzelana, a por. Zajdziński zabity. Niedługo po tym nadjechał wóz sanitarny z lekarzem kapitanem, zabrali rannego kierowcę. Nadjechały wozy bojowe z innych jednostek. Szły w szyku bojowym, to znaczy co 150-200 metrów. Z pomocą załogi wskoczyłem w czwarty czy piąty. Gdy dojechaliśmy na miejsce przeznaczenia, samochody poukrywano, mnie jako rannego zabrano do dowództwa. Od odprysków blach pokaleczone miałem całe czoło i policzki, a krew zeschnięta z kurzem wyolbrzymiała obrażenia. Koledzy myśleli, że nie mam już w ogóle twarzy. Po wyjściu z samochodu, który mnie przywiózł, szedłem w kierunku wzgórza, na którym spodziewałem się zastać dowódcę naszego 18. batalionu pułkownika Ludwika Domonia i dowódcę 6. brygady pułkownika Klemensa Rudnickiego. Koledzy później opowiadali: “Patrzmy, idzie ktoś sprzężystym krokiem w długim płaszczu, zupełnie podobny do Tadeusza Zajdzińskiego, ale przecież był meldunek, że Tadeusz zabity – a może to jego duch? dreszcz nas zmroził i niektórzy z nas zaczęli nieznacznie się cofać. Odległość mała, już nie było wątpliwości, ale jeszcze czuliśmy się jakoś dziwnie. Dopiero, jak się zameldował pułkownikowi, to radości nie było końca”. Po tym incydencie pozostał mi na pamiątkę drobny odłamek w lewym kciuku.

Zajęliśmy pozycję w górach, w Apeninach. Nasz batalion został rozstawiony u zbiegu dwóch przepięknych jarów. Kontakt z nieprzyjacielem nie mieliśmy, chodziliśmy więc stale na patrole celem rozpoznania pozycji niemieckich i terenu. Wkrótce zdarzać się zaczęły drobne potyczki. W początku kwietnia przypadała Wielkanoc. Nadal zajmowaliśmy pozycję w górach nad rzeką Sangro. Nudziło się nam tutaj. Święta mieliśmy spędzić ani na wojnie, ani w obozie. Obiecano dostarczyć nam różne smakołyki i włoskie piwo. Cały transport odbywał się na mułach po bardzo stromych, wąskich ścieżkach. Muły objuczane były przez specjalistów. Ładunek należało tak umieścić i tak wyważyć, żeby przy potknięciu muła nie ściągnął go w dół. Czekaliśmy Wielkiej Soboty. Pułkownik Rudnicki obiecał, że nas odwiedzi. Minęła godzina 21 i 22, a tu ani pułkownika, ani mułów. Niemcy od czasu do czasu strzelali po naszych drózkach, które mieli uprzednio rozpoznane. To był pech! Cała karawana mułów, prowadzona przez Cypryjczyków obrzucona została ogniem niemieckich moździerzy, rozbita i strącona w przepaść. Nasze piwo popłynęło do rzeki Sangro, a kilku Cypryjczyków straciło życie. Około godziny 23 straż zameldowała, że z dołu idzie grupa ludzi – pewno pułkownik ze sztabem. Zupełnie nie mieliśmy czym ich poczęstować. Szybko zrobiliśmy tort ze zwiniętej taśmy do karabinu maszynowego. Z boku błyszczące pociski wyglądały jak lukrowane. Podobał nam się ten tort, zrobiliśmy więc jeszcze drugi. Kiedy przyszedł pułkownik Rudnicki, nasz dowódca pułkownik Domoń zameldował: “Panie pułkowniku, wszystko jest w porządku, jesteśmy gotowi na każdą ewentualność i przygotowani do każdego działania. Wojsko tylko trochę głodne, ale ponieważ nie mogliście nam nic na święta dostarczyć, to nasza załoga przygotowała dla was dwa torty”. W tym momencie zdziwionemu dowódcy podano torty, ale jeszcze większe było jego zdziwienie, kiedy wyciągnięta ręka dotknęła stali pocisków. Pułkownik zapoznał się z rozmieszczeniem oddziałów, sprawdził niektóre posterunki.

Niedługo po odejściu dowódcy Niemcy poczęstowali nas huraganowym ogniem moździerzy i karabinów maszynowych, pewno też byli głodni. Zaopatrzenie dostaliśmy dopiero po 12 godzinach. Jak się później okazało Niemcy zrobili wypad dwoma kompaniami na pozycje włoskie. Włochów, którzy przeszli w Afryce na stronę aliantów mieliśmy na prawym skrzydle, dalej za nimi były oddziały angielskie. Niemcy, znając Włochów, liczyli, że przy wielkiej sobocie i spokoju na froncie, popijają

sobie wina i będą spali jak susły. Liczyli, że jest szansa zemścić się za zdradę, podczas tej kanonady obchodziłem akurat posterunki. Najpierw Niemcy pomacali pojedynczymi pociskami, schowałem się wtedy w ruinie jakiegoś budyneczku i przesiedziałem tam całą ogniową nawałę. Prawdopodobnie wszyscy schronili się dobrze i przepisowo, bo mieliśmy tylko jednego lekko rannego. Mimo, że na przedpolu niczego nie było widać, nasze granatniki i karabiny maszynowe również zagrały. To przecież była noc, nie można w nocy przegapić wroga, a oszczędzania amunicji nie zarządzono do końca wojny. Włosi również byli czujni i odpowiedzieli Niemcom gwałtownym ogniem, do którego dołączyli się Anglicy. Cieszyli się, że pierwszy ogień przeżyli razem z aliantami, Anglikami i Polakami i to akurat z Wielkiej Soboty na Wielką Niedzielę – to była bardzo dobra wróżba. W następnym tygodniu badaliśmy pas niczyj, tzn. teren między naszymi stanowiskami, a pozycjami Niemców. Mieliśmy rozpoznać pola minowe, pułapki, przejścia, ścieżki. Działanie takich patroli jest bardzo niebezpieczne, tym bardziej, że rozpoznanie trzeba było prowadzić w dzień. Niemcy, opuszczając ten teren, nanieśli sobie przecież na mapach wszelkie szczegóły i według tego ustawili ogień. Każdy wychodzący w teren patrol był narażony na zniszczenie. Nic więc dziwnego, że chętnych nie było. Zarządzono losowanie. Dowódcy batalionów losowali swoich młodszych oficerów. Z 18. batalionu wylosowano mnie. Miałem takie jakieś szczęście, że zawsze, kiedy trzeba było iść na patrol lub w szpicy, to wyznaczano mnie i zanim zaczęła się dla wszystkich prawdziwa wojna, ja miałem już wiele bojowych przygód.

○ Pułkownikowi widocznie było “łyso” więc postawił kolację. Dopiero w czasie tej kolacji dowiedziałem się, że jestem wyznaczony i również przez losowanie ustalono skład patrolu: podoficerów, saperów, broń maszynową, strzelców wyborowych. Łącznie dziewięciu ludzi. Dostałem czytą mapę, na niej kierunek oraz małą elektryczną lampkę. Wiadomym było, że mapka ma się zapełnić szczegółami z terenu. Wzięliśmy sprzęt, a przede wszystkim wykrywacze min i nakłuwacze. Mieliśmy z sobą sapera, ale przeszkoleni w wykrywaniu min i ich rozbrajaniu byliśmy wszyscy. Po krótkiej odprawie wsiedliśmy w samochód terenowy. Była noc. Nocą należało jak najbardziej zbliżyć się do nieprzyjaciela, przejść przez wysoki grzbiet górski pokryty śniegiem i zająć pozycję wyjściową. Ranek powinien zastać nas już po drugiej stronie góry. Ciemno “choć w mordę daj”

jak mawiali nasi przodkowie, a my wspinaliśmy się na wysokości powyżej 1 000 metrów nad poziom morza. Wspinaczka nie była łatwa. Teraz, po raz pierwszy mogliśmy skorzystać z umiejętności, nabytych podczas ćwiczeń w górach Małej Azji i Afryki. Szliśmy gęsiego w odległości około 5 metrów od siebie i nie wolno było zboczyć nawet o pół kroku. Usunęliśmy przed sobą kilka min, innych przeszkód nie mieliśmy. Poza szczytem odpoczęliśmy w małej kotłince. O świcie ruszyliśmy dalej. W rozległym rumowisku zauważyliśmy, że leżą jakieś błyszczące pręty. Ładne, aż się prosi, żeby wziąć to w rękę, można było z tego zrobić np. piękną laskę. Oczywiście nikt tego nie dotknął. Z zakrycia poza głazem rzuciłem kotwiczkę – nastąpił ogromny wybuch kilku połączonych min. Pręty były po to, żeby się nimi zainteresować i nie zwrócić uwagi na zamaskowane nieopodal potykacze. Obsypał nas grad kamieni, ale obyło się bez uszkodzeń. Obawiałem się, że wybuch zdradził nasze stanowisko i że za chwilę dostaniemy lawinę pocisków. Od niemieckich pozycji było to ze dwa kilometry. Leżeliśmy długo, zakryci skałami. Niemcy ognia nie otworzyli. Myśleli pewno, że kozica, może oszczędzali amunicję, a może po prostu zaspali? Z powrotem ruszyliśmy tą samą trasą. Nanosiłem na mapie wszystkie szczegóły. Dotarliśmy bez dodatkowych przygód do brzegu rzeki Sangro i spotkaliśmy się tam z patrolem 15. pułku ułanów, który rozpoznawał teren idąc inną trasą. Tu kończyło się nasze zadanie. Wracanie tą samą drogą nie bardzo nam się udawało. Wykryliśmy przy tej okazji jeszcze kilka min i wreszcie, bez przygód, doszliśmy do pozycji wyjściowej. Czekał już na nas samochód. Dostaliśmy prowiant. Po krótkim posiłku wróciliśmy do oddziału.

Mój patrol i ten, który spotkaliśmy, to oczywiście nie były jedyne patrole, które wysłano. Patrole penetrowały wzdłuż całej linii frontu, która ciągnęła się przez szerokość Półwyspu Apenińskiego od morza do morza. To jest reguła stosowana zawsze przed natarciem. W dowództwie oczekiwano nas z niepokojem. Upoważniał do tego wybuch miny. Można było myśleć, że wylecieliśmy w powietrze – ale ja miałem początkowo szczęście na wojnie. Nie dopisywało mi niestety do samego końca. Po zdaniu raportu i obfitej kolacji poszliśmy spać. Nazajutrz zwolniono nas od zajęć i zafundowano piękną wycieczkę do zameczku w okolicy Iserni. To było dobre odprężenie.

Już w końcu marca rozważano natarcie Polaków na Monte Cassino. To



strategicznie najważniejsze na całym froncie wzgórze usiłowali już zdobyć Amerykanie, Francuzi, Anglicy i Nowozelandczycy. Wszystkie natarcia załamały się, a zdobywający ponieśli olbrzymie straty. Dwa z tych natarć były w styczniu, w lutym jedno i jedno w marcu (niektóre źródła podają 3 natarcia). Amerykanie nacierali 15 stycznia i nie mogąc się pogodzić z niepowodzeniem, natarli ponownie 24 lub 25 stycznia, siłami wzmocnionymi przez korpus francuski. Nie pomogło to jednak i ponieśli krwawą klęskę. Wzgórze Monte Cassino po tych czterech natarciach okryło się w całej armii nimbem wzgórze nie do zdobycia. Nie było więcej chętnych do szturmowania. Monte Cassino zagradzało drogę do Rzymu, drugą na północ w głąb półwyspu. Innych dróg nie było. Ktoś musiał jednak zdobyć to wzgórze. Na odprawie w dowództwie 8. Armii angielskiej porozdzielano wszystkie inne odcinki frontu różnym jednostkom i ustalono, że Monte Cassino musi być zdobyte w maju. Dowódca 8. Armii, gen. Leese zaproponował gen. Andersowi, a właściwie zapytał, czy Polski Korpus mógłby wziąć na siebie ciężar walki o ten najważniejszy i dotychczas nie do zdobycia odcinek. Po krótkiej naradzie ze sztabem gen. Władysław Anders odpowiedział twierdząco. Od tego momentu sztab opracowywał plany i wraz ze sztabami jednostek przygotowywał się do wielkiego boju. Wiadomym było, że będzie to bój na śmierć i życie, a także o honor Polaków – takiej walki przegrać nie wolno!

Wycofano nas znad rzeki Sangro i zakwaterowano nas około 20 km od Monte Cassino. Przeprowadzaliśmy ćwiczenia nocne w górach. Zazwyczaj natarcia zaczynają się o świcie, kiedy żołnierzowi najlepiej się śpi. Oczywiście żołnierzowi nieprzyjaciela. To natarcie miało się rozegrać nocą. Nocą mieliśmy iść w kręte jary, pełne pozastawianych przez nieprzyjaciela zasadzek, w jary zaminowane. Mieliśmy wspinać się na wzgórze obłożone precyzyjnie ogniami niemieckiej artylerii, moździerzy, granatników, karabinów maszynowych. Mieliśmy zdobyć bunkry ukryte wśród skał..., a wtedy ruszyć dalej pod górę do walki wręcz przeciw wrogom, z których każdy miał w rękę pistolet maszynowy, a za pasem granaty. Wariactwo czy obłąd? A jednak to musiało się stać!

Jak zdobyć to piekielne wzgórze dniami i nocami przemyślał sztab. Jak wywalczyć zwycięstwo – łamał sobie głowę gen. Anders! On odpowiadał za wszystkich i wszystko – za każde życie, za wykonanie zadań, za honor. Tymczasem my ćwiczyliśmy stale. Saperzy natomiast budowali coś,

czego dotychczas nikt nie wymyślił – budowali drogę w góry, sławną później pod nazwą: Droga Polskich Saperów. Tą drogą miały być podwieszane w pobliże niemieckich pozycji pododdziały, sprzęt, zaopatrzenie. Tą drogą najbliżej, jak tylko było możliwe podeszły potem czołgi. Zdawaliśmy sobie sprawę, że na wzgórzach pod Monte Cassino śmierć czyha nas na każdym kroku. Oprócz broni trzeba było mieć przede wszystkim głowę. Jak nie ma żołnierz głowy, to i broń mu nie pomoże. Całe wyszkolenie i taktyka polegała na tym, żeby o wrogu wiedzieć wszystko. Najważniejsze jest rozpoznanie. Chcąc wroga pokonać trzeba wiedzieć jakiego się ma przeciwnika, jakie ma słabe punkty, jakie jest jego morale – wtedy kalkuluje się, czy zdoła się go pokonać, jakimi siłami, w jakim czasie i za jaką cenę. Każdy dowódca musi to przekalkulować w realiach i w sumieniu. Nasi dowódcy wyciągnęli wnioski z niepowodzeń poprzednich natarć. Widać to było po ciągłych ćwiczeniach górskich w ogniu ostrych strzelań. Tak miały nam ostatnie tygodnie przed rozstrzygającą bitwą, przed generalnym rozrachunkiem. Chcieliśmy pomścić krwawy, tragiczny wrzesień i wszystkie upokorzenia z nim związane. Ruch saperów i jednostek budowlanych nie ustawał. Tam, gdzie była tylko droga “mulna”, powstawała droga kołowa metr po metr. Ustawiano drogowskazy i moc znaków informacyjnych, a najwięcej tabliczek: “Nie bądź głupi, nie daj się zabić!”. Przyszło zniecierpliwienie. Mieliśmy już przesyt ćwiczeń, szkoleń, ostrzeżeń, nauk. Jedyne uczucie, które nas nurtowało, to chęć pójścia w bój. Natarcie miało się rozpocząć 8 maja, na św. Stanisława – to dobry dzień dla Polaka, ale nie wszystko jeszcze przygotowano. Nie była dokończona Droga Polskich Saperów. Nie zakończono również przegrupowania oddziałów. Czekaliśmy dalej, ale wyczuwaliśmy, że natarcie zacznie się lada dzień. Ilość ćwiczeń zmalała, dużo wypoczywaliśmy, karmili nas bardzo dobrze. Wielu spowiadało się i przystępowało do Komunii św. Nikt z nas nie mógł wiedzieć, czy nie będzie to ostatnia droga, ostatni bój.

9 maja 1944 r. powiedziano nam oficjalnie, że dziś wyjeżdżamy na pozycje wyczekiwania. Po kolacji, już o zmroku podstawiono samochody, szybko załadowaliśmy się i ruszyliśmy w kierunku Drogi Polskich Saperów. Niedaleko pierwszego jaru wyładowaliśmy się z samochodów i Droga Polskich Saperów doszliśmy do miejsc tzw. podstawy wyczekiwania. Przygotowano tam prowizoryczne schrony tzw. składaki, które ułożone były z płaskich głazów. Zrobili to nasi poprzednicy w styczniu, a może w marcu.

Kamienie ułożono luźno, tak, że przez ściany przewiewał wiatr i wszystko było widać dokoła. Dano rozkaz "spać", a że Niemcy nie zauważyli ruchu i nie dali ognia, wyspaliliśmy się nie najgorzej. W dzień żadnych zajęć nie było, dzieliliśmy tylko jedzenie i odpoczynek. Po odprawie dowódców kompanii poinformowano nas, że 11 maja o godzinie "H" rozpocznie się ogień przeciwbaterijny na umocnienia niemieckie na najważniejszych wzgórzach i w jarach. Byliśmy podminowani tą wiadomością i trzymaliśmy ekwipunek przy sobie. Górę nad zdenerwowaniem brała ciekawość jak to się rozpocznie? Jak to będzie? O godzinie 21.00, po kolacji i ostatnich sprawdzeniach, kompanie wyszły na pozycje wyjściowe do natarcia. Szliśmy Drogą Polskich Saperów pod górę. Szła taka masa wojska, że dosłownie powstał tłok. Trudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby Niemcy otworzyli wtedy ogień. Pogoda była piękna, gęsty mrok. Czołgi posuwały się bez świateł, wolniutko – krok za krokiem, o ile o czołgach można tak powiedzieć. Mimo tłoku wszystko odbywało się bardzo spokojnie. W pewnym miejscu złapał naszą kompanię łącznik i zaprowadził na miejsce wyjściowe do natarcia. Stoki tych wzgórz obok drogi były porośnięte sosną i krzewami, ale teren prawie odkryty. Niedaleko przed naszą pozycją – pola minowe, które uprzednio rozbroili nasi saperzy. Bataliony tak rozmieszczono, że na każdy przypadały dwie górskie ścieżki, którymi można się było wspinać. Po każdej ścieżce miały przejść dwie kompanie. Początkowo, w programie ustalono, że każda kompania będzie miała swoją ścieżkę. Kompania, jak idzie gęsiego utrzymując minimum 5 metrów odległości między żołnierzami, rozciąga się na około kilometr. Dwie kompanie, to bardzo długi sznur, ale nie mieliśmy innego wyjścia, ponieważ saperzy nie zdążyli rozbroić wszystkich ścieżek. Leżeliśmy w ciszy i czekaliśmy na rozkaz wejścia na ścieżki, które, jak już powiedziałem, wiodły w górę poprzez pola minowe. Czekaliśmy również na zapowiedziane przygotowania artyleryjskie. Patrzyliśmy również na zegarki – Godzina "H" nadchodziła. Jeszcze 15 minut, jeszcze 5, 2, jedna – już!

Huk, który wstrząsnął ziemią, był tak potężny, że zadrżały wzgórza, powietrze zafalowało i mimowolnie przywarliśmy do ziemi. Był 11 maja, godzina 23.00. Huk wszystkich armat i innych ciężkich broni był tak olbrzymi, że myśleć można było tylko o końcu świata, ryku wulkanów, trzęsieniu ziemi. Pojedynczych wystrzałów nie słyszeliśmy, bo jednocześnie grzmiało kilkaset dział. Niemcy byli przygotowani, wiedzieli, że natarcie nastą-

pieć musi. Po kilku więc minutach zaczęli obrzucać nasze stanowiska pociskami z moździerzy. Straty od początku mieliśmy duże. Nasz 18. batalion stracił całą łączność. Zginął dowódca Stypiński, jego zastępca, a wszystkie aparaty zostały rozbite. Od tej chwili mogliśmy polegać tylko na radiostacjach dowódców kompanii i plutonów. Miały one jednak niewielki zasięg. Byli zabici i ranni we wszystkich kompaniach, a działa grały z obu stron pełną siłą. Mimo strasznej nawały ognia, strat w ludziach i sprzęcie, spokój panował w naszych szeregach. Wszyscy siedzieli jak trusie, przyciśnięci do skał i czekali rozkazu do natarcia. Po przeszło dwóch godzinach, około godziny 1.00 dn. 12 maja, gdy przycichła artyleria i przeniosła ogień na dalsze pozycje nieprzyjaciela, wydano rozkaz: "kompanie ruszają po wytyczonych ścieżkach do natarcia". Ruszyliśmy! Teraz wynik bitwy zależał od nas, tylko od nas! Czuliśmy ciężar tej odpowiedzialności. Nikt nie chciał dać się zabić, każdy chciał dojść do zwycięstwa. Dróżki szerokości od 1 do 1,5 metra, wytyczone białą taśmą prowadziły przez pola minowe. Krok w prawo czy w lewo – oznaczał śmierć. Szliśmy jeden za drugim w odległości około 5 metrów, rozciągniętym wężem, padając co chwila, bo pociski niemieckich dział i moździerzy rwały się, a trafione miny wyrzucały w powietrze tony gładów i kamieni. Dowódca naszej 4. kompanii miał swój punkt dowodzenia w 1. plutonie, którego byłem dowódcą. Szedłem pierwszy, uzbrojony tak jak każdy z żołnierzy w "tomigan", tylko, że amunicji i granatów miałem prawie o połowę więcej. Chłopcy szli za mną. Pola minowe przeszliśmy bez strat i rozwinęliśmy tyralierę. Sąsiednie kompanie też już się rozwinęły. Kierowaliśmy się na wzgórze "Widmo". 5. Kresowa Dywizja Piechoty miała za zadanie zdobyć wzgórze "Widmo", a w dalszym planie wzgórze tzw. "Balkony". 3. Karpacka Dywizja Piechoty nacierała natomiast na Mas Albaneta, Gardziel, wzgórze 593 i 569 w kierunku na klasztor. Niżej, wzdłuż drogi Nr 6 i rzeki Rapido nacierały wojska angielskie.

Natarcie na Monte Cassino nie było działaniem lokalnym. Ruszyły do boju wszystkie wojska alianckie na całej szerokości Półwyspu Apenińskiego, od Morza Tyrreńskiego do Adriatyku. Długość tego frontu wynosiła ponad 160 kilometrów. nasz odcinek był stosunkowo krótki. Nacierał cały korpus tzn. 3. i 5. Dywizja piechoty, 12. i 15. pułk kawalerii zmotoryzowanej, pułk kawalerii armijnej, przydzielony do naszej 5. Dywizji. Następnie oddziały artylerii, moździerzy, służby łączności i wszystkie inne

służby, które współpracowały z oddziałami będącymi bezpośrednio w walce.

Jak już powiedziałem, po przejściu pól minowych, po rozwinięciu się w tyralierę, szliśmy pod górę po głazach, kamieniach, wertepach w nieśląbnącym ogniu niemieckim. Nie strzelaliśmy, bo nie mieliśmy jeszcze do kogo. Trzymaliśmy jednak nasze "gwintówki" w pogotowiu, bo moment kiedy będą potrzebne, mógł nadejść w każdej chwili. Często rozlegał się krzyk rannego, rżenie konającego lub jęki i wzywanie pomocy. Sanitariusze dwoili się i troili, opatrywali, odnosili w dół. My szliśmy ciągle dalej kryjąc się w szczelinach i między głazami. Dominował nad wszystkim stały huk, a ciemności rozrywane były co chwila błyskiem pocisków. Ta piekielna noc strasznie się wlokła, a może nam się tak tylko zdawało? Niebawem na horyzoncie zaczęły się zarysowywać grzbiety wzgórz. Zarzeczotały karabiny maszynowe i smugi świetlnych pocisków pajęczyną osnuły zbocza. W ślad za nimi ogień nieprzyjacielskich moździerzy stał się celniejszy. O świcie wyłoniły się przed nami niemieckie bunkry i inne umocnienia. Zagrała broń maszynową z obu stron. Świsł pocisków i furkot odłamków skalnych przycisnął nas do ziemi. Skokami dotarliśmy do grzbietu "Widma". Tam zdobyliśmy niemieckie schrony i umocnienia granatami i ogniem "tomiganów". Wzięliśmy pierwszy jeńców. Odesłani zostali w dół. Po raz pierwszy w tej wojnie poczuliśmy rozkosz sukcesu, ale to nie było jeszcze zwycięstwo. Na grzbiecie "Widma", który jest bardzo płaski, dostaliśmy tak silny ogień, że przeleżeliśmy przyciśnięci do ziemi przez kilka godzin. Jak się później dowiedziałem, dowódcy byli zrozpaczeni – straty były tak duże i stale rosły, że groziły zagładą nacierającego wojska. Trzymaliśmy jednak zdobyty teren i opluwaliśmy Niemców z broni maszynowej. Około godziny 13.00, może 14.00 przyszedł po linii rozkaz: "Dowódca 4. kompanii porucznik Łokaj ranny, dowództwo obejmuje ppor. Zajdziński." Rozkaz powtórzyłem i podałem po linii: "4. kompania na rozkazy ppor. Zajdzińskiego!".

Chciałem się zorientować jak jest rozłożone moje wojsko i ile go mam, jaki jest jego stan, ale przesunięcie się po linii było zupełnie niemożliwe. Kompanię musiałem dowodzić z miejsca, na którym byłem. Nie wiedziałem, ilu mam żołnierzy z prawej i lewej strony. Nie sposób było to stwierdzić. Przyciśnięci byliśmy ogniem do ziemi, a podniesienie głowy groziło utratą życia. Po pewnym czasie, gdy ogień zmniejszył się nieco, przyszedł po linii rozkaz, że 4. kompania ma zająć stanowiska na przeciwległym

stoku "Widma". Do dziś nie wiem, kto wydał ten rozkaz, bo po bitwie żaden z dowódców rozkazu tego nie potwierdził. Poderwałem kompanię i po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów znaleźliśmy się poza grzbietem wzgórza. Obyło się bez strat. Nie wiem, co się wtedy stało, czy Niemcy tak oniemieli, że przerwali ogień, czy się tak przełękli? Z pewnością prowadziła nas Boska Ręka. Po tamtej stronie stoku było piekło – po tej było cicho i "przytulnie". Nasza artyleria strzelała dalej, a niemiecka na drugą stronę stoku. Niemcy przywitali nas, co prawda, ogniem Spandałów i Schmeisserów, ale wyparliśmy ich szybko. Poszliśmy za nimi likwidując pojedyncze ogniska oporu. W pewnej chwili zorientowałem się, że wojna została poza nami i że nie czuje się na skrzydłach naszych oddziałów. W tej sytuacji nie można było iść dalej, bo Niemcy mogli nas otoczyć i zlikwidować. Zapadliśmy w załamacz skalnych. Celem nawiązania łączności wysłałem w prawo plutonowego Piotra Gwizdałę, a w lewo kaprała podchorążego Polaczka. Gwizdała wrócił, a Polaczek został ranny i przejęty przez Niemców. Na skrzydłach nie mieliśmy żadnych naszych oddziałów, byli tam Niemcy. Zrozumiałem, że tylko nasza kompania przeskoczyła na drugi stok wzgórza. Na froncie nie można zostawać w tyle, ale zbyt szybkie wysunięcie się na przód jest niebezpieczne. W pewnej chwili zauważyłem, że jarem w prawo od nas schodzi jakieś wojsko. Posłałem łączników. Okazało się, że to kapitan Machnica, dowódca kompanii z 15. batalionu. Kapitana Machnicę znałem dobrze, bo w 1932 r. służyliśmy razem w wojsku w tej samej kompanii i nawet w tej samej drużynie. Przekazałem mu, że jeśli się będzie wycofywał, to wycofamy się razem pod jego dowództwem. Jednak straciłem z nim kontakt i po pewnym czasie spostrzegłem, że wycofał już swoje oddziały. Wydałem więc rozkaz wycofania się ze stoku na grzbiet "Widma". W międzyczasie straciliśmy jeszcze jednego żołnierza, radiotę Kazika Zafińskiego, którego niemiecki snajper trafił w sam środek czoła. Padł tuż przy nas i nie wydał nawet jęku. Szyfry i aparat zabraliśmy z sobą. Poszliśmy znów tyralierą w górę, ale tym razem do tyłu. Niemcy przypuszczali nieskuteczne ataki, widocznie opadli już zupełnie z sił. Potrzebny był batalion świeżego żołnierza, by przeważać szalę losu na naszą korzyść. Takiego żołnierza jednak brakowało, a my musieliśmy się cofać. Minęło około godziny, kiedy nagle dostaliśmy się w silny ogień artylerii, która ostrzeliwała wzgórze "Widmo" i jego przeciwniegi stok. Była to nasza artyleria. Okazało się później, że natarcie kor-

pusu załamało się wskutek wielkich strat i skrajnego wyczerpania żołnierza. Bataliony wycofały się, a my pozostaliśmy na "Widmie". Falszawy meldunek dotarł do dowództwa, że Niemcy zdobyli "Widmo". Dano więc na nie ogień zaporowy z naszych dział. Znow przywarliśmy do ziemi. Po przejściu ogniowej nawały opuściliśmy grzbiet i schodziliśmy w dół.

Zapadał zmrok. Dołączył do mnie podporucznik Leon Chałupa, jeszcze jakiś porucznik, którego nazwiska nie zapamiętałem, kilku żołnierzy, tak, że było nas około 40. Poruszanie się nocą narażało na duże ryzyko. Przekazaliśmy więc do świtu. Mimo krańcowego wycieńczenia nikt nie spał. Wokół było słyhać głosy wzywające pomocy, jęki i przekleństwa po polsku i niemiecku. Głosy te oddalały się lub cichły, gdy chłopcy chcieli udzielić pomocy – to były głosy dusz opuszczających ciała na tym pobojuwisku i nikt nie mógł już im pomóc. O świcie ubezpieczyliśmy się "na jeża" i kierując się więcej wzuciem, niż znajomością terenu, odnalazłem punkt łączności i zaopatrzenia. Pod stertą kamieni był ukryty telefon, amunicja i żywność, a co najważniejsze, woda. Napiliśmy się i posilili chlebem z marmoladą. Mogliśmy odpocząć przed dalszą drogą do baz wyjściowych. Była godzina około 4 rano. Połączyłem się z dowództwem batalionu. Ucieszono się bardzo, bo mieli nas za straconych. W dobrych humorach zeszliliśmy do pierwszego jaru. Tam spotkaliśmy oddział, którego dowódca zarzucał nam, że zachowujemy się zbyt swobodnie i możemy ściągnąć ogień nieprzyjaciela. Był to dowódca 16. batalionu major Andrzej Stańczyk. Takie nieporozumienia bywają między oddziałami wracającymi z boju a oddziałami będącymi już w tyle. Drogą Polskich Saperów doszliśmy do naszej pozycji wyjściowej, do naszych bunkrów "składow" i tam usnęliśmy twardym snem. Około 21.00 przysłano jeepy, które odwiozły nas do obozu. Mimo że było już po capstrzyku, czekała na nas obfita kolacja i powitanie kolegów. Do późna w noc opowiadaliśmy sobie "jak to było". Zameldowałem się u dowódcy batalionu. Raport zdawałem również dowódcy brygady. Spałem do godziny czternastej. Było to 14 maja.

W dniu 15 maja krążyły wersje, że szykuje się drugie natarcie. Nie przyjąłem tego z entuzjazmem. Ani ja, ani inni oficerowie nie rwaliliśmy się do takiego piekła. Najbardziej przygniatające było poczucie odpowiedzialności za akcję, za zwycięstwo lub klęskę, za sprzęt, a przede wszystkim, za życie ludzi. Odpowiada się nie tylko przed dowództwem, ale przed własny sumieniem. Nagle przyszedł rozkaz wyjazdu. Załadowaliśmy się

na samochody i wszystko poszło sprawnie jak na paradzie. Pojechaliśmy. Wylądowano nas bardzo blisko miejsca, skąd szliśmy do pierwszego boju. Do drugiego natarcia poszliśmy bez tego wielkiego przygotowania artylerii. Przez adiutanta, porucznika Światocho wezwał mnie dowódca pułkownik Domoń i dostałem rozkaz ubezpieczenia batalionu z prawej. Tym czasem niemieckie moździerze macały dość gęstym ogniem. Podczas wskazywania jaru, w którym miałem działać, pułkownik Domoń i porucznik Światocho zostali ranni. Dowództwo naszego 18. batalionu objął major Franciszek Osmakiewicz, dotychczasowy zastępca. Nacierać miał 16. batalion, a nasz szedł w odwodzie. Po wstępnych, niezbyt nasilonych "pukaniach" 16. maja przez cały dzień i noc, 17. ostro ruszyło natarcie na wzgórze "Angelo". Natarcie poszło również na "Widmo". Na wzgórza 573, 595 i przyległe oraz klasztor nacierała 3. Dywizja. Wzgórza przechodziły z rąk do rąk. Walka była zacięta, ale Niemcy, wyczerpani pierwszym natarciem, wykrwawieni i zdeprymowani ulegli 18 maja przed południem. Na ruinach klasztoru nasi polscy żołnierze zatknęli zwycięski, biało-czerwony sztandar. Sztandar krwi i wolności. To było wielkie zwycięstwo polskiego oręża, a także rewanż za Warszawę 1939 roku. Bitwa o Monte Cassino nie trwała długo, ale była strasznie zacięta, zabrała wiele istnień i utoczyła dużo polskiej krwi...

Noc spędziłem z moimi żołnierzami na ponownie zdobytym "Widmie", a o świcie ruszyliśmy w kierunku Santa Lucia i Piedimonte. Piedimonte, to odrębne karty mojego życia. Tam spotkał mnie sukces, ale i nastąpiła wielka tragedia. Trzeba zdać sobie sprawę, że zdobycie klasztoru nie otwierało jeszcze drogi do Rzymu – trzeba było zdobyć Piedimonte.

Bitwa o Monte Cassino zaczęła się 11 maja o godzinie 23.00, a zakończyła dopiero 25 maja zdobyciem Piedimonte. Ale wróćmy jeszcze do bitwy o Monte Cassino. W zamierzeniach dowództwa zarówno wzgórze klasztorne jak i sąsiednie miały być zdobyte w ciągu 24 godzin. Obliczenia te nie były pozbawione sensu. Gdyby pierwsze natarcie nie załamało się, sukces nastąpiłby w tym czasie. Tymczasem pierwsze natarcie było tak krwawe i ze względu na trudny teren i ostrość bitwy, tak męczące, że dowództwo postanowiło je przerwać. Dowództwo nie wiedziało, że Niemcy byli wyczerpani nie mniej, niż my, a właściwie w jeszcze gorszym stanie, bo już bez woli walki. Mówiłem już o tym, że jeden nasz batalion wypoczętego wojska przeważałby szalę. Honor zdobycia wzgórza klasztornego przy-



padł 3. Karpackiej Dywizji Piechoty. Nasza 5. Kresowa Dywizja Piechoty pozostała jakby w cieniu. Nie było jednak możliwe zdobycie klasztornej góry i pobocznych wzgórz bez opanowania sąsiedniego terenu, a przede wszystkim wzgórza "Widmo". Miało ono płaski, dość rozległy grzbiet dokładnie obłożony ogniami wszystkich broni, jakie posiadał nieprzyjaciel. Niemcy zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli opanujemy "Widmo" i przejdziemy na drugą stronę, to oskrzydlimy Monte Cassino i Piedimonte. Ogień ryglujący "Widmo" był tak straszny, że formalnie zmiatał wszystko, co pokazało się na tym wzgórzu. "Widmo" – znaczyło strach, znaczyło również śmierć. Taką daliśmy temu wzgórzu nazwę, nie jest to przecież nazwa geograficzna.

Na początku bitwy o świcie 12 maja lotnictwo alianckie dokonało ogromnego nalotu na pozycje niemieckie. Na stanowiska artylerii i na punkty ogniowe zrzuciło tysiąc bomb. Lotnictwo niemieckie nie liczyło się już zupełnie, nie stawiało więc żadnego oporu w powietrzu. Pomiędzy pierwszym, a drugim natarciem nastąpiło ponowne bombardowanie pozycji nie-



Fot. 25. W Szkocji, 1946 r.

mieckich. Zniszczono wówczas doszczętnie klasztor, cenny zabytek kultury sakralnej. Był układ z Niemcami, że klasztor wyłącza się z działań wojennych. Niemcy nie dotrzyмали tego układu i podczas pierwszego natarcia razili nasze oddziały ogniem broni umieszczonej w budynkach klasztornych. Na ogień ten nie byliśmy przygotowani. Niektórzy twierdzili nawet, że było to bezpośrednią przyczyną załamania się pierwszego natarcia. Zaraz po wojnie Amerykanie odbudowali klasztor w pełnej świetności, można powiedzieć, że po odbudowaniu stał się jeszcze piękniejszy, ale niestety nie wszystko dało się odtworzyć. Na zawsze przepadło wiele cennych, zabytkowych przedmiotów, obrazów, posągów i innych dzieł. Dopiero z murów klasztoru można zorientować się w pełni, jak wielkiego czynu dokonał żołnierz, zdobywając te wzgórza. Z klasztoru widać wszystko, jak na dłoni. Szczeliny i schowki skalne, w których kryliśmy się, idąc do ataku, były stąd doskonale widoczne i można było do nas strzelać, jak do kaczek. Wzięci do niewoli Niemcy opowiadali, że najbardziej deprymowało ich to, że mimo piekielnego ostrzału z ich strony, mimo wielkich naszych strat, stale szliśmy naprzód i wiadomym się stawało, że musimy dojść, a na myśl o tym, co wtedy – skóra na nich cierpła. Nie wytrzymali tego napięcia i musieli ulec.

Z wielkim bólem i żalem zawiadamiamy,  
że dnia 20 stycznia 1994 r. zmarł nagle

Ś.ŃP.

## **TADEUSZ ZAJDZIŃSKI**

lat 84

wieloletni nauczyciel, oficer rezerwy, bohater kampanii Monte Cassino, uczestnik walk II Korpusu Polskiego, odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Monte Cassino, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i innymi odznaczeniami państwowymi.  
Człowiek wielkiego serca.

Pogrzeb odbył się 23 stycznia na Cmentarzu Komunalnym w Sierpcu, o czym zawiadamia  
*pogrążona w głębokim żalu*  
*Rodzina*

Ogłoszenie prasowe o śmierci i pogrzebie  
Tadeusza Zajdzińskiego.